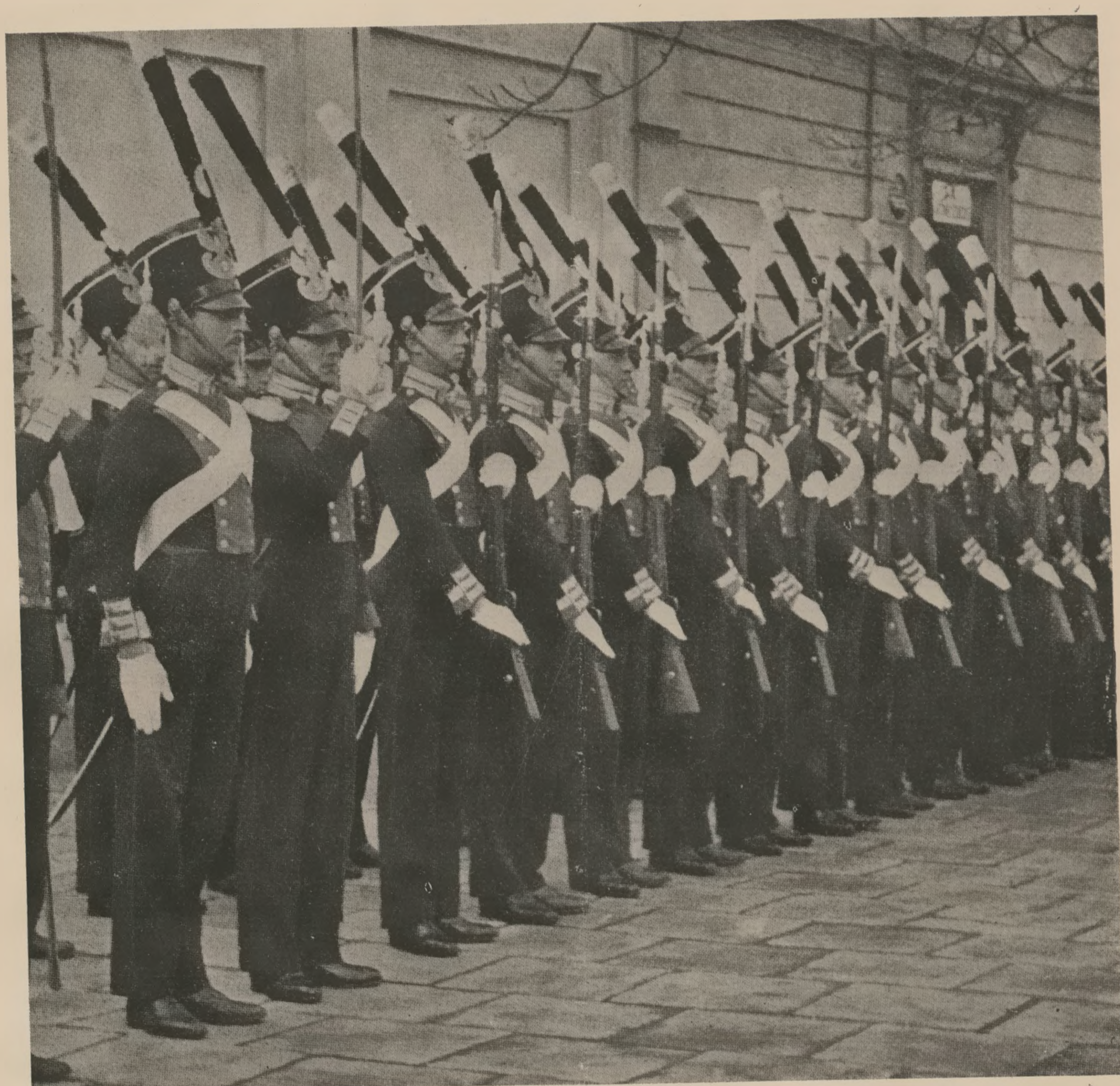
TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Mieczysław Grydzewski
Felicja Kranc
Jan Lechoń
Wacław Sledziński
Stanisław Stroński
Kazimierz Wierzyński
Bolesław Zubrzycki

Vol. 2. Nr. 47 (99) Nowy Jork, 26 listopada — New York, 21, N. Y., November 26th, 1944 Cena 15 ct.



UCZNIOWIE WARSZAWSKIEJ SZKOŁY PODCHORĄŻYCH
ubrani w historyczne mundury szkoły z roku 1830 na rocznicę 29-go listopada

BOLESŁAW ZUBRZYCKI

LISTOPAD

Koncepcje polityczne, które zdają się brać górę w gronie ludzi odpowiedzialnych za całokształt polityki Narodów Zjednoczonych w listopadzie 1944 nie są ani nowe, ani oryginalne.

W listopadzie 1944, pod koniec największej i najokrutniejszej wojny w dziejach nowożytnych — trudno mieć jeszcze złudzenia — że świat, który się z tej wojny wyłoni, będzie lepszym, sprawiedliwszym czy szlachetniejszym od tego, co było w przeszłości.

Przyszły pokój świata, taki, jaki się zaczyna coraz wyraźniej zarysowywać przez mgłę rokowań dyplomatycznych i mętną frazeologję oficjalnych komunikatów politycznych, oparty będzie na zasadzie prymatu siły, na uprzywilejowaniu potęg. Tak więc, wojna obecna, która zaczęła się jako wojna ludowa i wojna Boża w obronie zasad, które uważaliśmy za podstawę naszej cywilizacji zakończona zostanie pokojem, który nie będzie ani ludowym, ani Bożym, a który będzie jedynie nawrotem do systemu, o przezwyciężenie którego walczyły ludy cywilizacji zachodniej przez setki lat. Zakończona zostanie podziałem świata na sfery wpływów trzech wielkich mocarstw, które "wezmą na siebie odpowiedzialność" za zachowanie pokoju i demokracji na całym świecie.

W jesieni, 1815, podobne koncepcje polityczne brały górę wśród polityków wielkich mocarstw, którym po długich i krwawych wysiłkach udało się wreszcie wykończyć francuskiego awanturnika, Napoleona, i odpędzić groźne widmo jakobińskiej demokracji, które, mimo wszystko, nigdy nie opuszczało sztandarów wielkiego korsykanina, idąc za nimi, jak cień, nawet wtedy gdy kazał na swą głowę włożyć koronę cesarską.

Nie mówiono wówczas, w epoce kongresu wiedeńskiego, o demokracji. Mówiono jednak o zachowaniu zasad, a świętych prawach, które jakoby Stwórca zapewnił kilku uprzywilejowanym rodzinom. Mówiono o pokoju trwałym i o porządku światowym. Za cel stawiano sobie zabezpieczenie Europy przed odrodzeniem jakobinizmu.

Dla zabezpieczenia porządku w Europie zwycięskie mocarstwa związały się przymierzem, które, dla podkreślenia swych idealistycznych, jakby się zdawało, pobudek, nazwały "Przymierzem Świątem". Traktat, w którym spisano klauzule tego przymierza zaczęto imieniem Wszechmocnego.

Pokój, zawarty w Wiedniu i "Święte" przymierze trzech wielkich mocarstw, które zobowiązały się pilnować Europy przed niebezpiecznemi nowinkami ideologicznemi i przed groźbą odrodzenia francuskiego imperjalizmu rewolucyjnego zlikwidowały rzeczywiście groźbę podboju Europy przez Francję raz na zawsze. Osadzeni na tronie francuskim "legalni" królowie nie marzyli o niczem innnem, jak o uniknięciu nieprzyjemnych przygód, które zakończyły żywot ostatniego z ich przedrewolucyjnych poprzedników. Legenda Napoleońska butwiała i wyblakła, weterani z pod Ulm i Austerlitz umierali i z mogił ich nie budził się jakoś obawiany mściciel. Pokój i wzniosłe zasady z Bożej Łaski oświeconej Tyranji wydawały się zabezpieczone na długie wieki.

Matadorzy, układający mapę Europy na kongresie Wiedeńskim zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie tkwiło w wolnościowych dążeniach małego i pokonanego narodu Polskiego. Wiedzieli oni dobrze, że zlikwidowanie Polski przez podział między jej sąsiadów usunęło wprawdzie z serca Europy niebezpieczny ośrodek myśli postępowej i demokratycznej, ale wiedzieli oni także, że Polacy pozostali, mimo rozbiorów Rzeczypospolitej, nadal **rasą niebezpieczną dla tyranów.** Rozproszeni po świecie Synowie Polskiej Wdowy zalewali sadła za skórę nietylko Prusaków, Austryjaków i Moskali, w swych szarzach szalonych na rozkaz Cesarza Francuzów, ale nawet i za skórę Anglików, na drugiej półkuli, idąc z pomocą zbuntowanym kolonistom amerykańskim, ucząc tych farmerów taktyki kawalerji i budując mocne forty przeciw wojskom Jego Królewskiej Mości.

Wymyślili wtedy intrygę chytrą, która miała uspokoić i oszukać sumienie ludzi wrażliwych, usypiając jednocześnie ambicje wolnościowe Polaków. Stworzyli "niepodległe" Królestwo Polskie", okrojone terytorjalnie do małego skrawka ziemi, pod miłościwem berłem oświeconego Cara Wszechrosji. Car łaskawie dał temu "Królestwu" nawet pewien rodzaj konstytucji, pozwolił miłościwie otworzyć Uniwersytet w Warszawie, dał ładne mundury małej armji stałej owego, jakby się to dziś powiedziało, Puppet-State. Było to zresztą Puppet-State typowe. Był taki Namiestnik — generał Zajączek, niedołężny kollaboracjonista, był nawet mądry książe Drucki-Lubecki, grający rolę, dziś dziwnie nam nasuwającą na myśl niektórych ludzi z Vichy. Ale wtedy, w początku 19 wieku, nie wynaleziono jeszcze Vidkuna Quislinga i sumienie świata było uspokojone.

Porządek stworzony w Wiedniu nie był jednak tak mocnym, jakby się zdawało. Nie było też wielu kollaboracjonistów między Polakami. W 10 lat po traktacie zaczęły trzeszczeć wiązania kunsztownej budowli.

W lipcu, 1830, przegoniono legalnego króla Francji. Belgowie zerwali się do walki o swą niepodległość. Dumał Car Wszechrosji, jakby to posłać polską kawalerję wraz z pułkami kozaków do Paryża i do Brukseli, żeby dotrzymać umów Świętego Przymierza i zabezpieczyć porządek w Europie. Polacy jednak iść nie chcieli tym razem.

30 listopada, 1831, łuna rozgorzała nad Warszawą; paliła się stara szopa na Marymoncie. W ogrodzie belwederskim zeschłe liście szeleściły pod stopami podchorążych. Brat rodzony oświeconego Cara Wszechrosji, podpory Świętego Przymierza, pierwszego rzecznika sprawiedliwości i porządku międzynarodowego uciekał w śmiertelnej trwodze.

Mały naród, marjonetkowe państewko plunęło w twarz Wielkiej Potędze, mającej gwarantować moralny ład życia międzynarodowego, zapobiegać agresjom i tępić wrogów Oświeconych Tyranów z Bożej Łaski.

Małe, marjonetkowe państewko walczyło o swoją wolność, o swoje prawo, o demokrację, o sprawiedliwość międzynarodową. Walczyło też o wolność innych, a nawet o wolność swych ciemięzców. Walczyło z kłamstwem ładu międzynarodowego utrzymywanego przez najemną policję i ciemnych żołdaków. Walczyło z oszustwem wymyślonem w traktacie wiedeńskim.

Małe, marjonetkowe państewko przegrało tą wojnę. Ale urok niezwyciężoności tyranów prysł — i lata, które następowały niosły w sobie coraz nowy posiew krwi. Krew płynęła we Włoszech, we Francji, w Niemczech nawet. Płynęła w roku 1846, 1848, 1863; płynęła strugą nieprzerwaną. Płynęła o wolność ludzi i narodów, o demokrację, o jakobińskie prawa człowieka i obywatela.

Łuna, która rozgorzała nad Warszawą 29 listopada 1830 odbiła się

blaskiem ogromnym nad Europą, gorzejąc nieustannie, dopóki, po latach mąk, rewolucji powstań bohaterskich nie przekonała większości ludzi cywilizowanych o złudności pokoju, opartego na bagnetach wielkich potęg, na krzywdzie małych narodów, na niewoli jednostek, na kłamstwie o rzekomych ideałach, które poto, żeby przeżyć, muszą być bronione przez policjantów.

* *

Jesienią, 1944 roku mądre głowy starają się przekonać opinję o konieczności ochrony demokracji przy pomocy uzbrojonych po zęby niewolników. Starają się wytłumaczyć, że małe państwa winny być otoczone troskliwą kuratelą wielkich imperjalizmów, bo bez niej mogłyby się stać niebezpieczne dla pokoju światowego.

Jesienią, 1944, mądre głowy kombinują że właściwie idea Królestwa Kongresowego była zupełnie praktyczna: można było przy jej pomocy uśpić sumienie świata.

* *

Niech pamiętają mądre głowy, że znów mogą zaszeleścić liście na ścieżkach belwedeskiego ogrodu. Że znów może zapłonąć szopa pod Marymontem. ŻE PRAW I PRAWD DEMOKRACJI STRZEŻE NIEŚMIERTELNY DUCH ROBESPIERRE'A.

JERZY BAZAREWSKI

POLEGŁEMU KOLEDZE

Może to i nie pora przyzywać twoją pamięć
Daleki mój linjowy panie plutonowy,
Gdy stoisz pod gwiazdami, w ponadziemskiej bramie,
I liczysz dniem i nocą swoich szeregowych.

Ale, ty mi przebaczysz tę ostatnią winę
Z liczby tych jakie mogą obciążyć sumienie;
Mówiliśmy wszak o tem kiedyś, pod Cassino,
Gdy ty szedłeś wieczorem kolegę zamienić.

Nie wiem czy ziemskie słowa dotrą aż do nieba,
I czy się o tem dowiem zabity kolego,
Wiem tylko, że mi bardzo tej rozmowy trzeba —
Z tobą, któryś odpłynął do drugiego brzegu.

Jechały ciemny wozy wgłąb ciemnej Ravendish,
Huczały i syczały wśród nocy pociski.
Ja byłem tam przedwczoraj, ty już tam nie będziesz,
Niebo tam, mój kochany, po dawnemu błyska.

Z drożyny którą szedłeś w swą ostatnią drogę,
Przyniosłem na cmentarny hełm twój trochę kwiatów;
I więcej już niestety, nic zrobić nie mogłem
Dla ciebie, na tym biednym pośród biednych światów.

STANISŁAW STROŃSKI

(Korespondencja własna "Tygodnika Polskiego")

TRZECIE DZWONIENIE W IZBIE GMIN

W kolejnych rozprawach tegorocznych w Izbie Gmin, po mowach p. Churchilla' z lutego, maja i września napięcie troski o Polskę wzrastało w oczach. Nic dziwnego, bo i chmury nad Polską zgęszczały się coraz groźniej. W ostatniej rozprawie z dn. 28 i 29 września 1944 sprawa Polski wybiła się stanowczo i dobitnie na czoło.

Sam p. Churchill:

1. ponowił swe poprzednie oświadczenia o konieczności zmian granic Polski, jednak już bez jakichkolwiek wzmianek t. zw. o linji Curzona, lecz tylko w zakresie potrzeb bezpieczeństwa Rosji, których bliżej nie objaśniał, głównie uzasadniając tę konieczność tem, że bez pomocy wojsk rosyjskich Polska wogóle nie mogłaby być uwolniona.

2. stwierdził, że istnieje rozbieżność między stanowiskiem W. Brytanji i St. Zjednoczonych Ameryki z jednej strony, a Rosją z drugiej strony, zaznaczając jednak, że także marszałek Stalin oświadczył się wielo krotnie za silną i przyjazną Polską, suwerenną i niepodległą.

3. Uwydatniał szczególną odpowiedzialność W. Brytanji wobec Polski na rzecz mocy, suwerenności i niepodległości Polski, w myśl obwieszczeń wszystkich trzech wielkich mocarstw, co dwukrotnie przypomniał.

4. Wytykając popieranie przez Rosję innego ciała oświadczył, że W. Brytanja i St. Zj. Ameryki stanowczo popierają Rząd Polski w Londynie.

W zakończeniu swych uwag o Polsce i Rosji i ponownie w zakończeniu całej swej długiej i poświęconej wielu sprawom mowy p. Churchill zaznaczył, że w omawianiu zagadnień międzynarodowych nakazał sobie jaknajstaranniejszą powściągliwość i prosił posłów o oględność. Wszyscy zrozumieli, że dotyczy to znowu zatargu polsko-rosyjskiego. Wszyscy też, w chwili, gdy do tej sprawy przystępowali, przypominali to wezwanie Pierwszego Ministra, zapewniając, że mają je na uwadze, poczem wyrażali swe poglądy rzeczywiście oględnie, ale tak by było to jednak oględne omawianie, a nie oględne przemilczanie sprawy.

Właśnie w świetle tych wezwań do oględności uwypukla się wyrazistość rozprawy.

Odrazu w pierwszych godzinach rozprawy p. Alan Graham, Lord Dunglass i Sir Archibald Southby wygłosili przemówienia tak całkowicie i tak dokładnie oświetlające zatarg polsko-rosyjski, jak jeszcze nie bywało, a zarazem dobitnie przyznające słuszność Polsce i domagające się odpowiedniego poparcia ze strony polityki Wielkiej Brytanji.

P. Alan Graham:

"Nie możemy zrzec się naszego stanowiska obrońców cywilizacji europejskiej, a od nas zależy baczyć, aby sprawa polsko-rosyjska została załatwiona w tym duchu wspólnoty europejskiej, gdyż nie może być pokoju w Europie, gdyby istotna niepodległość Polski została bezpośrednio, lub pośrednio, zdeptana przez Rosję".

Lord Dunglass:

"Przyjęliśmy traktatowo prawne i moralne zobowiązania wobec Polski a jest naszym zwyczajem honorowanie naszych umów... Gdyby, po klęsce

Niemiec, naród polski, tak dzielny a tak nieszczęśliwy, miał nadal być w okowach, a gdybyśmy zawiedli w uczynieniu wszstkiego co w naszej mocy, nasze sumienie narodowe nie zaznałoby spokoju na pokolenia".

Lord Dunglass stwierdził również: "Rosja zerwała z Polską umowę, która uznała status quo z r. 1939."

Jest to jeszcze jedno potwierdzenie, że tak tylko może być pojmowane przekreślenie przez Rohję, w umowie z Polską z 31 lipca 1941, zmian terytorjalnych w Polsce dokonanych w umowach Rosji z Niemcami w r. 1939.

Zarazem przypomniał Lord Dunglass, że Rosja zobowiązała się trzykrotnie wobec W. Brytanji niezałatwiać takich spraw, jak z Polską, inaczej niż w zgodnem porozumieniu, a mianowicie w Karcie Atlantyckiej z r. 1941, w umowie trzech wielkich mocarstw w Moskwie w październiku 1943, a szczególnie w art. 5 układu przyjaźni brytyjsko-rosyjskiej na lat 20, gdzie wyraźnie podkreślono o polityce wobec Narodów Zjednoczonych,

"...dwie zasady: nie poszukiwanie zdobyczy terytorjalnych i nie mieszanie się do spraw wewnętrznych".

Sir Archibald Southby który przypomniał również umowy i zobowiązania powiedział, że kierownicy Rosji Sowieckiej nie powinni wobrażać sobie "...jakoby Brytyjczycy nie czuli, że ich honor jest tu w grze".

P. McGovern zwrócił uwagę na owo uzasadnienie, że wojska rosyjskie uwalniają Polskę:

"To prawda, że Polska nie byłaby uwolniona bez wysiłku wojennego Rosji, lecz w wielkiej mierze i to prawda, że gdyby nie Rosja i jej pakt z Niemcami, cały ląd Europy nie dostałby się pod but Niemiec".

W sprawie zaś drugiego uzasadnienia roszczeń rosyjskich, a mianowicie innych granic dla bezpieczeństwa, p. Bevan powiedział:

"Nie wierzę w to by bezpieczeństwo Rosji miało być oparte o tę czy ową granicę. Czyż dziś w czasach bomb latających może ktoś wyobrazić sobie, że pokój świata może zależyć od gór, rzek lub fortec? Takie pojęcia są zeszłowieczne".

Sir Cuthbert Headlam zaś rozwinął tę myśl:

"Być może, że, jak powiedział Pierwszy Minister, Związek Sowiecki musi mieć pewność, iż granice jego są zabezpieczone przeciw wszelkiemu najazdowi i to w pełni ku jego zadowoleniu. Ale i ja sądzę, że granice nie mają już dla bezpieczeństwa znaczenia takiego jak dawniej. A trudno nam myśleć o tem, by Polska miała być pozbawiona swego obszaru."

Sekretarz Stanu Spr. Zagr. p. Eden w zakończeniu rozprawy, mówiąc o zatargu polsko-rosyjskim, zaznaczył, że wszelkie poglądy w niej znalazły wyraz i dodał:

"To bardzo dobrze, mojem zdaniem, by obce kraje wiedziały, co się u nas myśli w tych sprawach".

I niewątpliwie w tem tkwiło znaczenie tej rozprawy przed wyjazdem p. Churchill'a i p. Eden'a do Moskwy.

P. S. Odwlokłem wysyłkę tego sprawozdania, czekając na wyniki pzyjazdu pp. Churchilla i Edena 10 października, a następnie pp. Mikołajczyka, Romera i Grabskiego 12 paźdz., 1944, do Moskwy. P. Churchill mówił w Izbie Gmin 27 paźddziernika 1944 o naradach w Moskwie,, ale, co jest zrozumiałe, niezmiernie ogólnikowo. W sprawie Polski zapewnił, że żywi nietylko nadzieję lecz i ufność, ale nie wskazał żadnych zgoła objawów odprężenia, a końcowa jego uwaga, iż, gdyby Rząd Polski w początku br. usłuchał rad Rządu Brytyjskiego, tj. przyjął jako podstawę rokowań t. zw. Linię Curzona, nie powstałaby dodatkowa trudność wskutek pojawienia się Komitetu w Lublinie, budzi obawę, iż nadzieja i ufność opierają się zbyt jednostronnie na rachubie, że wzrastające trudności skruszą opór Rządu Polskiego.

Nie byłoby to zgodne z duchem rozprawy w Izbie Gmin i z jej oczekiwaniami.

Okres nacisków na Polskę, by sama zgodziła się na straszliwe okrojenie, którego Sprzymierzeni nie mogą i nie chcą brać na swą odpowiedzialność dziejową, trwa nadal.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI

NA 150-LECIE RZEZI PRAGI

(4-go LISTOPADA 1794)

(o próbie rehabilitacji Suworowa)

Ciąg dalszy.

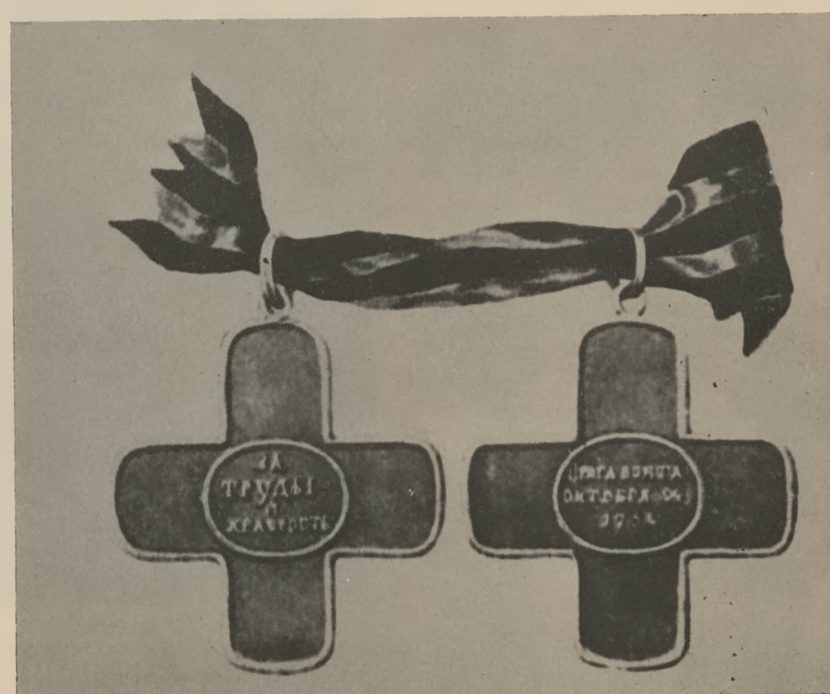
Opisując słynny szturm i rzeź Pragi dn. 4 listopada 1794 r. Osipow składa hołd geniuszowi wojskowemu Suworowa i broni go od zarzutu "świadomego okrucieństwa". Po zdobyciu Pragi z domów strzelano i ciskano kamieniami, nic więc dziwnego, że żołnierze wpadli we wściekłość i przestali rozróżniać między ludnością cywilną a wojskiem. Autor wymownie podkreśla, że Suworow w dzień szturmu był chory, a że żołnierze odmawiali posłuszeństwa uspokajającym ich oficerom, więc Suworow, zorientowawszy się w położeniu, kazał spalić most, aby uchronić ludność Warszawy od losu Pragi. Niezależnie od wszystkiego Suworow widział w miażdżącym ataku, "aczkolwiek na pierwszy rzut oka wydaje się to paradoksem, prawdziwy humanitaryzm. Dla Suworowa wojna była złem, ale złem nieuniknionym, z którego trzeba postarać się jak najprędzej wyjść." Podobny sąd o miadżących uderzeniach Napoleona wydali Marx i Engels, na podobnym stanowisku stoi regulamin armii czerwonej. Dodajmy od siebie, że niejaki Hitler, głoszący wojnę totalną, też dowodził, że im wojna jest okrutniejsza, tym jest humanitarniejsza, bo szybciej likwiduje przeciwnika.

Czy szturm Pragi był — wobec niewspółmiernie słabszych sił polskich — takim majstersztykiem wojskowym, jak twierdzi Osipow nie podejmujemy się ocenić. Trzeba przypomnieć że w przeciwieństwie do Izmaiła, Praga nie była fortecą, umocnienia zaimprowizowano niemal z dnia na dzień. Paweł I, któremu w pewnych wypadkach nie brakło poczucia humoru, wyraził się: "Praga — zwycięstwo? Zwykła rzeź żydów, to wszystko".— Kwestia spalenia mostu znajduje najróżnorodniejsze oświetlenie. Teza Osipowa nie jest oparta na żadnych przekonywujących dowodach. Przypuszczać należy, że most spalili albo Polacy, by uniemożliwić Rosjanom przedostanie się do Warszawy, albo Rosjanie by uniemożliwić ucieczkę Polakom. W relacji historyka sowieckiego najbardziej uderza brak słowa współczucia dla ofiar rzezi, współczucia, na które — jak potem zobaczymy — zdobywają się wszyscy niemal historycy Rosji carskiej.

* * *

Całość insurekcji kościuszkowskiej nie doczekała się dotąd naukowego opracowania. Ratosiewicz w swym popularnym zarysie stwierdza, że "nie posiadamy żadnego dokładnego opisu szturmu Pragi", Korzon w pięknej monografii Kościuszki ogranicza się do wzmianki o "przerażającej rzezi". Relacje pamiętnikarzy współczesnych są szczupłe i lakoniczne. Zajączek, Ogiński, Wybicki, późniejszy prezydent Warszawy Wojda, Kosmowski z przybocznej gwardii królewskiej poeta Karpiński, czy mniej znani Cieszkowski, Zbyszewski, Kochanowski, są zgodni w stwierdzeniu okrucieństwa Rosjan. Hieronim Kochanowski, wychowanek Szkoły Rycerskiej, pisze: Suworow "wydał rozkaz wyciąć całą ludność Pragi, co dopełniły hordy barbarzyńskie z taką wściekłością, iż nie oszczędzały ludzi żadnego wieku i płci, a niemowlęta brały Kozaki na spisy mordując matki wyszukanymi zbrodniami... Jęk, płacz mordowanych mieszkańców Pragi tak był moralnie zabijającym, iż pozbawił mnie i kilku kolegów sił fizycznych"..

Wspomnienia Kilińskiego z czasów Stanisława Augusta, należą, obok mało w Polsce czytanych a tak przez Hamsuna wychwalanych wspomnień Rufina Piotrowskiego z połowy XIX w. do szczytowych osiągnięć pamiętnikarstwa polskiego. Opis wieszania zdrajców Ankwicza, Kossakowskiego, Ożarowskiego i Zabiełły, w r. 1794 ma w sobie grozę i prostotę godną pióra najświetniejszego prozaika. Ale o rzezi Pragi Kiliński mało ma do powiedzenia. Stwierdziwszy, że "o takim morderstwie jakie zrobili Moskale, jeszcześmy w żadnej historii nie czytali", daje upust swemu żalowi w rzewnym, przejmującym obrazie: "...Ach! mój Boże co to był za płacz wielki, ludzie chodzili po pobojowisku i szukali ten brata, ów ojca swojego. Ach! to sądnego dnia straszniejszego nie trzeba, jak był ten widok. Kto poznał swego zabitego, to go tak wziął na ręce jak sztukę drzewa i niósł do domu swego, chcąc mu pogrzeb sprawić, ale do domu żadnego zabitego wziąć nie dano, tylko zaraz w doły pakowano i chowano."



Krzyż oficerski za szturm Pragi

Jest rzeczą niezmiernie znamienną, że w wypadku Pragi relacje polskie wypadają raczej blado w zestawieniu z relacjami przedstawicieli dwóch narodów, które brały udział w ostatniej przedrozbiorowej wojnie z Polską: Rosjan i Prusaków.

Były adjutant Potemkina, Lew Nikołajewicz Engelhardt, któremu jego wydawca, gen. major Putiata, w słowie wstępnym najlepsze wystawia świadectwo jako człowiekowi uczciwemu i prawdomównemu, pisze w swoich zapiskach: "Żeby wyobrazić sobie obraz okropności po jego ukończeniu, trzeba być naocznym świadkiem. Na każdym kroku do samej Wisły widać było zabitych wszelkiego stanu, a na jej brzegu zwalone stosy ciał, zabitych i umierającch: żołnierzy, mieszkańców, Żydów, zakonników, kobiet i dzieci. Na taki widok zamiera serce człowieka a wzrok hydzi się taką hańbą (a wzory mierziatsia takowym pozoriszczem)".

Anonimowy "Augenzeuge", zapewniający w przedmowie że powziął zamiar nie pisania o niczym czego wiarogodnie nie sprawdził, w dziele o insurekcji r. 1794 dedykowanym naczelnemu wodzowi wojsk pruskich, feldmarszałkowi von Mollendorffowi, więc wolny od zarzutu sprzyjania Polakom, zaznacza, że "najpłomienniejsza siła wyobraźni nie byłaby w stanie straszliwiej odmalować sceny pełnej grozy i barbarzyństwa, niż to co się tu działo w rzeczywistości.. Rosjanie wdzierali się do domów i wyrzynali ludzi bez łaski i miłosierdzia".

FriedrichNufer, uwięziony przez Polaków po wybuchu powstania komisarz prowiantowy armii pruskiej, więc także zarówno z racji swego zawodu jak i losów, daleki od sympatii dla Polski, człowiek zimny i trzeźwy, skoro zajął się od razu skupowaniem od kozaków zrabowanej na Pradze odzieży, nie może powstrzymać się od łez na widok tego co się stało: "W upojeniu zwycięstwem (Rosjanie) pławili się we krwi mieszkańców i wycinali w pień na co się natknęli — scena przed którą ludzkość się wzdryga". 17,000 - 18,000 ludzi obojga płci, młodzi i starzy, matki z niemowlętami, żołnierze, konie, wozy, zwierzęta domowe — legło pokotem. "Ciała zamordowanych były nagie; tu i tam drgała pod trupami czyjaś ręka czy też wyciągnięta obnażona noga.... Całe miasto Praga było spowite w ogień i dym... nieszczęsny widok był tym okropniejszy, że wśród tego wszystkiego rozbrzmiewał krzyki ofiar".

Poeta i publicysta J. G. Seume, sekretarz wielkorządcy Katarzyny w Warszawie, ambasadora Igelstroma, więc znów świadek z punktu widzenia rosyjskiego bezstronny, stwierdza bez ogródek, że "okrucieństwo Rosjan... w samej rzeczy stanowi plamę, którą uczciwy oficer pragnąłby wymazać ze swojej służby". Pułkownik rosyjski Lieven opowiadał Seumemu, że spotkał grenadiera rosyjskiego, który każdego napotkanego Polaka przebijał bagnetem a trzymaną w drugim ręku siekierą miażdżył mu głowę. Kiedy Lieven zwrócił mu uwagę, że powinien bić się z żołnierzami a nie z bezbronnymi, usłyszał taką odpowiedź: "Co tam, panie, wszyscy oni są psy, walczyli z nami i muszą umrzeć"; to mówiąc, rozpłatał jakiemuś biedakowi czaszkę". Uczuciom swoim dał Seume wyraz w wierszu "Modlitwa", napisanym w dzień wzięcia Pragi (obok późniejszego "An Herrn Grass in Riga"), prosząc Boga by nie dał mu zwątpić "kiedy hordy hien pustoszą na śmierć kraje i weselą się nie bacząc na hekatomby ludzkie".

Nawet kurlandzki baron Heyking, który usprawiedliwia względami praktycznymi okrucieństwa suworowskiego "Blitzkrieg'u", nie cofa się przed określeniem szturmu Pragi jako "straszliwej rzezi (entsetzliche Metzelei)".



Akwatinta współczesna: Suworow oparty na buławie feldmarszałkowskiej; klęczaca kobieta, symbol Warszawy, wręcza zwycięzcy pieczęć miasta z syreną i klucze; nad głową wodza unoszą się dwaj aniołowie, jeden z wieńcem laurowym, drugi z napisem "Polonia recepta"; na stole kapelusz Suworowa ze wstęgą wysadzaną brylantami za Krupczyce i Brześć, oraz tabakierka emaliowana z brylantami z napisem: "Warszawa zbawcy swemu".

Szturm Pragi odbił się szerokim echem w ówczesnej opinii europejskiej. Wymordowanie dwudziestu tysięcy bezbronnych piętnuje francuski biograf Katarzyny II Castera. Najostrzejszych słów nie szczędzi zarówno Katarzynie jak Suworowowi — Francuz w służbie rosyjskiej, C. F. Ph. Masson, który przez długie lata przebywał na dworze petersburskim. Groteskowa powierzchowność Suworowa nie może zmylić nikogo — pisze Masson: "Suworow byłby tylko śmiesznym bufonem, gdyby nie okazał się najbardziej barbarzyńskim wojownikiem. Jest to monstrum, który w ciele małpy zamyka duszę rzeźnickiego psa. Attyla, jego współrodak, od którego, być może pochodzi, nie był ani taki szczęśliwy, ani taki dziki... Jego dzikość jest naturalna zastępuje mu odwagę: przelewa on krew instynktownie, jak tygrys". Szczególne obrzydzenie budzi w Massonie słynna scena po kapitulacji Warszawy, tak wymownie opisana w relacji Zbyszewskiego, kiedy Suworow zawołał do przybyłej delegacji: "Vivat! vivat! — Mir wieczysty z walecznym polskim narodem... My nie zrodzeni do tego abśmy się bili wzajemnie. Jeden nasz początek. Nie będę już maczał tego oręża we krwi narodu godnego szacunku i poważania". Ta obłuda Suworowa, "ściskającego mieszkańców Warszawy i zapewniającego im łaskę nad trupami dwudziestu tysięcy obywateli wszelkiego wieku i płci, przypomina nasyconego tygrysa, który bawi się swoją zdobyczą wśród kości uprzednio pomordowanych" — zaznacza Masson.

Suworow zachował dobry humor także w okupowanej Warszawie, Radca legacyjny Tarrach, przedstawiciel rządu pruskiego, opowiada, że pewnego dnia pijany feldmarszałek zeszedł na ulicę, zaczął ściskać przechodniów i tańczył kozaka pod muzykę orkiestry rosyjskiej, której kazał przygrywać.

Upadek insurekcji r. 1794, niewola Kościuszki i rzeź Pragi, ze wszystkich krajów europejskich może najsilniejszym echem odezwały się w Anglii. Dzisiaj, kiedy przy akompaniamencie potwornej wojny totalnej, rozmaici domorośli reformatorzy ludzkości kreślą plany przyszłej jedności europejskiej, przerzucając się na rozkaz, czy też tylko na skinięcie z góry, od wspaniałości federacyjnych do dyktatu nowego świętego przymierza — nie zdajemy sobie sprawy, do jakiego stopnia Europa sprzed pierwszej wojny światowej stanowiła całość i jedność. Pochodzenie, narodowość, formalna przynależność państwowa, słowem "paszport", odgrywały znikomą rolę, wartość i przydatność człowieka rozstrzygały niemal o wszystkim. — Kościuszko walczył przeciw Anglii w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych — nie przeszkodziło to Anglikom w dwadzieścia lat potem zgotować mu tryumfalnego przyjęcia na ziemi angielskiej. Podobnie niechęć do Francji i do wielkiej rewolucji nie zaślepiały Anglików do tego stopnia, by mieli oddać się bezwzględnemu uwielbieniu Suworowa, mimo, że pod koniec 18 wieku był on jedynym z wodzów koalicji, który mógł się poszczycić zwycięstwem nad rewolucyjną Francją.

PRZYPISY

POLACY O RZEZI. Dzieje insurekcji kościuszkowskiej. **Kazimierz Bartoszewicz.** Wiedeń (1909); str. 857. — Kościuszko... **Tadeusza Korzona.** Kraków (1906); str. 452 — **(Józef Zajączek).** Histoire de la revolution en Pologne en 1794, par un **temoin oculaire.** Paryż 1797; str. 187. "Les ""Les habitants de ce fauxbourg furent passes au fil de l'epee; femmes, enfans, pretrs, tout fout tue impitoyablement". — Memoires de **Michel Ogiński...** Tome second. Paryż 1826; str. 51-52; "On mit le feu aux quatre coins de ce faubourg". — Pamiętniki **Józefa Wybickiego.** Tom drugi. Paznań 1844; str. 115. — O rewolucji polskiej w r. 1794. **Wojda.** Poznań 1867; str. 141. — Pamiętniki **Stanisława Kosmowskiego** z końca XVIII wieku. Poznań 1867; str. 49. — Pamiętniki **Franciszka Karpińskiego,** Poznań 1844; str. 156: "kłuto i wylcinano ludzi już tylko o litość proszących". — Diariusz powstania krakowskiego w roku 1794. **Ludwik Cieszkowski,** Lwów 1887; str. 10. — Opowiadanie **Zbyszewskiego** o kapitulacji Warszawy w 1794 roku. Kraków 1894; str. 4-6. — "Księga domowa" **Leona i Hieronima Kochanowskich.** Przegląd Historyczny. — Warszawa maj-czerwiec 1916; str. 371. — **Jana Kilińskiego** Pamiętnik o czasach Stanisława Augusta. Kraków 1906; str. 261-265: "Na Pradze Moskale bez pardonu matki i małe dzieci rżnęli i na bagnety biorą i rzucają na ulicę. Matki niedść że zabito, ale je po ulicach gołe rozkładali i między nogi piki wtykali, tak dalece, że im gardłem wyłaziły. Inne w ogień rzucano i żywcem palono... W całej Predze zrobiło się jak w sądny dzień"...

ŚWIADECTWO ROSYJSKIE: Zapiski **Lwa Nikołajewicza Engelhardta.** Moskwa 1868; str. 177-178: — "...umierczszwionnych żitielej było niesczietno".

ŚWIADECTWA NIEMIECKIE. — Der polnische Insurrektionskrieg in Jahre 1794... Von einem **Augenzeugen.** Berlin 1797; str. 245-246 — **Fiedrich Nufers** Schicksale... Poznań 1795; str. 27-29. Tamże opisy szczególnego znęcania się nad żydami (str. 31-32). — Vorfalle in Polen. **J. G. Seume.** L. c.; str. 405. W "Zwei Briefe uber die neueste Veranderungen in Russland seit ber Thronbsteigung Paul des Ersten" (1 c. str. 436-437) Seume w chaotyczności bitwy widzi okoliczności usprawiedliwiające dla żołnierza rosyjskiego. — Wiersz "Gebet": l. c.; str. 566-568. W komentarzu do wiersza (str. 725) Seume pisze: "Ismail und Praga sind des schrecklichen Suworow schrecklichste Page". Por. także: **Józef Czernecki.** J. G. Seume. Lwów 1889. — Aus Polens und Kurlands letzten Tagen... **Karl Heinrich Heyking.** Berlin 1897; str. 430. Późniejszy feldmarszałek, Hermann von Boyen, (Erinnerungen aus dem Leben ds General Feldmarschalls **Hrmann von Boyen,** Lipsk 1889; str. 84-85), który brał udział w wojnie z Polską jako adjutant gen. von Gunthera, uważa że szturm Pragi w niczym nie różnił się od szturmów innych miast. — Broni Suworowa w książeczce, dedykowanej cesarzowi Niemiec, anonim van Mxy (Leben und Feldzuge des Gneral-Feldmarschalls Alexander Suworow... **Von Mxy,** Lipsk 1800; str. 74), mówiąc, że wódz rosyjski pierwszy bolał nad przelaną krwią, ale że okoliczności zmusiły go do bezwzględnego działania.

Dokończenie nastąpi.

NASTĘPNY NUMER

"TYGODNIKA

POLSKIEGO"

BĘDZIE

SETNY

OD

POCZĄTKU ISTNIENIA

PISMA

PIEKŁO WARSZAWY



Ciężko chora przenoszona do niemieckiego obozu koncentracyjnego



Żołnierz Armji Podziemnej wydobywany przez Niemców ze swego schronu



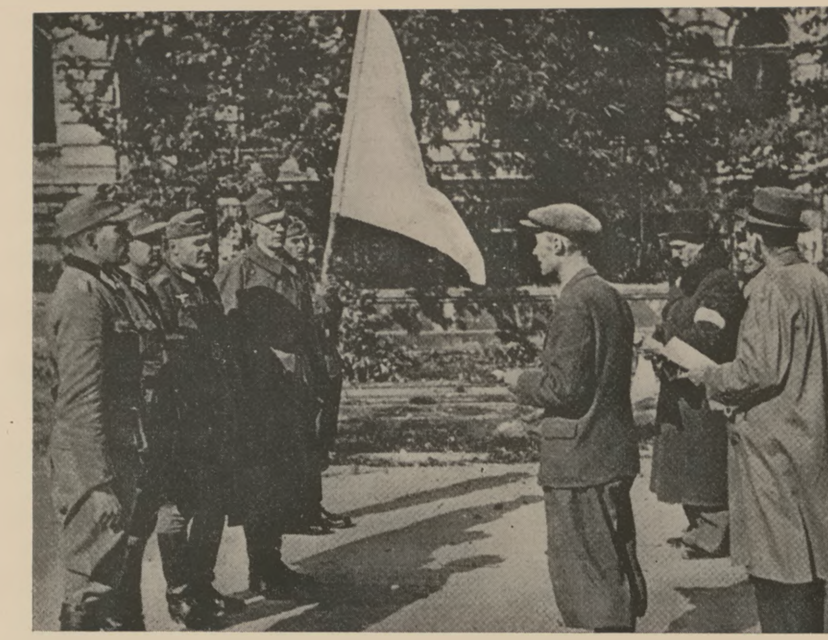
Umierający prowadzeni do obozów koncentracyjnych



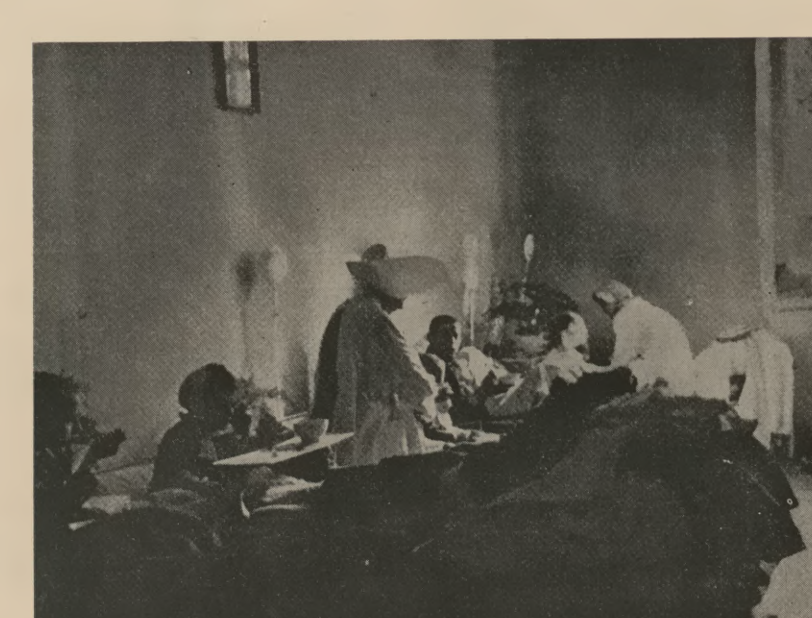
Jeńcy



Głodni



Polscy parlamentarjusze



Dzieci w szpitalu warszawskim w czasie bombardowania

Mowa Wierzyńskiego na obiedzie Pen-Clubu

Dnia 15 b. m. odbył się obiad PEN klubu amerykańskiego, poświęcony sprawom działalności PEN klubów i projektom na przyszłość. W obiedzie tym wziął udział, jako gość honorowy i przemówił, wiceprezes PEN klubu polskiego, Kazimierz Wierzyński. Oprócz niego przemawiali doskonali pisarze Sommerset-Maugham i Robert Sherwood. Oto przemówienie Wierzyńskiego:

Mr. Chairman, Ladies and Gentlemen:

I must begin with apologies: please forgive my poor English. If I dare speak in spite of my linguistic debility, it is because I believe that after our meeting it will be deeds and not words that will count.

The European P. E. N. Clubs before the war formed a wide circle of near and distant friends. We were bound by our love for our writer's profession and by certain common ideals. We defended the ideal of peace and we opposed war and agression. We defended freedom of speech and thought and we opposed compulsion and violence. The first defeat of this ideology came in September 1939, when the first shot was fired over the boundary of my native Poland, which thus became the Pearl Harbor of Europe. These events have taught people who have survived a certain caution in discussing future happenings. I am not enough of an optimist to accept solemn assurances of an ideal post-war world without any restrictions and doubts. I think that our ideals of defending peace and denouncing war will still prevail in the future. It is therefore all the more important for us at this moment to plan for that future.

But we are not concerned here with points of view or prophecies. We are rather concerned with our activities, with our will to work for a new and better world. Every program even the most difficult, may be realized by people, for it is people that realize programs, and not programs that create people. It seems to me that instead of waiting for the postwar world we should take immediate action.

Let us remember that Europe, the common motherland of our culture, is at the present moment a cultural desert. That a great part of the European continent is still a place of torture for free men, no longer free. While we are talking here, our colleagues over there are perishing in hunger and poverty. While we are planning here for a better future, th execution squads over there are busy night and day.

In my native country for five years not a single book has appeared, with the exception of underground publications. Universities are closed, men of learning — shot, libraries — taken away, collections — looted, writers— silenced, hiding or dead. What is the fate of our colleagues in starving Greece, what is their fate in ruined Jugoslavia, in terrorized Norway in Czechoslovakia and so many other countries? What is the fate of our Jewish colleagues, persecuted in all these countries? If we should tell these people that P.E.N. Clubs have determined to fight for peace and denounce war — and nothing else — they would listen as if to words of men from another planet. They want at this moment only one thing — help, direct and immediate assistance.

I think that P.E.N. Clubs can and should take action now. I would suggest that from among P.E.N. Club members an American, or if you prefer, an Anglo-American Emergency Relief Committee for writers be established. This committee might also be open to foreign writers residing at present in America or England. I would envisage the activities of such a committee along the following general lines:

1. The committee should take immediate action to secure necessary funds.

2. The committee should enter into direct contact with P. E. N. Clubs or other writer's organizations in liberated countries such as Italy, France, Belgium, Greece, Netherlands.

3. The committee should offer them all the immediate assistance which they may require. Even if they need bread or medication, we should not be ashamed of such Samaritan deeds.

4. The committee should prepare for future assistance as for example, assistance to libraries and writers workshops and it should explore means to this end.

5. The committee should prepare some assistance by which the creative spirit of those writers may be salvaged. I have in mind a kind of scholarship which would permit writers particularly stricken by the war to visit America or England for six months or a year.

After five years of war and totalitarian terror such a brief stay in democratic countries, would be for them a kind of spiritual cure, and perhaps even a spiritual salvation.

I speak of these things in America. Here our cities are not burned, our homes are not being bombed. We are not in danger, nor do we go hungry. We speak and write what we think. We live in freedom.

But our conscience is tortured by thoughts of those who have none of these things. We must help them, — we must help them not only because they are writers, but because they are human beings. This will be our first step not only towards international friendship which is the aim of our organization. It will be a proof of brotherhood of man which is man's supreme commandment.

WACŁAW ŚLEDZIŃSKI

SZOPEN W POLSCE PODZIEMNEJ

WYJĄTEK Z KSIĄŻKI "SWASTYKA NAD WARSZAWĄ"

...Szopen. W Polsce obecnej za granie Szopena grozi kara śmierci. Zresztą nietylko za granie. Ta sama kara grozi za posiadanie nut i płyt gramofonowych. To znaczy, że za Szopena tak samo karzą jak za przechowywanie broni, jak za redagowanie tajnej gazety, jak za złożenie konspiracyjnej matury, jak za walkę o wolność.

Z Szopenem walczą ale go nie zabili. Szopen ciągle jest wielki i nieśmiertelny. Zeszedł tylko do podziemi.

Niedawno byłem na koncercie. Na tajnym koncercie. Szopenowskim. — Urządziła go pani, która każdemu zaproszonemu mówiła to samo:

— Zanim umrę, chcę jeszcze raz w życiu usłyszeć Szopena...

Ten wieczór, ten pokój i te twarze kilkunastu osób przypominały nastrojem i charakterem piwnicę redakcyjną, odprawę organizacji. Było w tym wszystkim coś wielkiego, uroczystego, choć w gruncie rzeczy było to tylko zbiorowe przestępstwo, grożące wszystkim uczestnikom śmiercią. Wszystko jedno gdzie to się działo; w pewnym miejscu w Warszawie. Przygotowania do koncertu trwały dwa dni. Okna i drzwi zostały zakneblowane poduszkami i kołdrami. Kilkanaście kołder, dywanów i różnych szmat ściągniętych z wielu mieszkań, zamieniły ściany i sufit pokoju w wielobarwną mozaikę. Podłoga była miękko usłana; stąpało się po niej jak po materacu. Jeden z moich przyjaciół, szef grupy bojowej, dopomógł do zapewnienia bezpieczeństwa nazewnątrz domu; przysłał dwu uzbrojonych w rewolwery obserwatorów, którzy spacerowali po ulicy.

O godzinie ósmej wszyscy zaproszeni byli w pokoju. Pierwsi zaczęli przychodzić o piątej. Niektóre panie były ubrane w czarne suknie, jeden z panów zjawił się w smokingu. Parę minut po ósmej weszła pani domu w towarzystwie młodego nędznie wyglądającego człowieka. Był to znakomity pianista, szopenista, którego w tym pokoju nazywano mistrzem albo panem Marianem. Pani domu, szczupła, wysoka o puszystych srebrnych włosach spiętych wielkimi grzebieniami i o twarzy posiekanej zmarszczkami, miała na sobie skromną, podniszczoną suknię wieczorową i jakże nie pasujące do tej sukni pantofle z drewnianymi podeszwami. Nie pasowały one do sukni, nie pasowały do nóg staruszki, arystokratki zajmującej się z amatorstwa malarstwem, poezją i muzyką i pieszczonej przez los w ciągu dziesiątków lat, ale odpowiadały warunkom życia wojennego: życia bez chleba, bez butów i bez Szopena. Pan Marian był w grantowej marynarce o błyszczących ze starości plecach, wystrzępionych rękawach, połatanych łokciach i w jasnych spodniach. Miał włosy długie, dawno nie strzyżone, twarz wychudzoną, zmarzniętą i niebieskie wspaniałe, marzycielskie oczy; takie oczy spotyka się tylko u prawdziwych poetów i prawdziwch artystów. Przedstawiając go, pani domu użyła określenia "mistrz", na co pan Marian uśmiechnął się, mówiąc:

— To tylko reminiscencje przedwojenne, zresztą przyjemne dla żebraka...

— I to dla żebraka bez licencji — dodał jeden z przyjaciół mistrza.

Kto o tym jeszcze nie wiedział, mógł się teraz dowiedzieć, że pan Marian jest "muzykantem" ulicznym, żebrzącym graniem na skrzypcach i nie posiadającym na to pozwolenia policyjnego.

Niebawem w pokoju zapanowała głęboka cisza. Nie wystarczyło dla wszystkich krzeseł, więc niektórzy kucnęli na miękkiej ziemi. Pani domu zapaliła dwie świece, za którymi biegała kilka godzin po całej Warszawie. I zgasiła światło elektryczne. Pan Marian usiadł do fortepianu.

Nie wybierał w myślach, nie zastanawiał się ani chwili nad utworem, jaki ma zagrać. Zaczął odrazu, z furią, z wściekłością, z jakąś dziką rozkoszną drapieżnością.

Etiuda Rewolucyjna.

Przed wojną słyszałem ją często. Ale teraz, gdy grał pan Marian, gdy na ulicy włóczyły się bandy niemieckie, gd przyszliśmy tu tajnie, była jakaś inna, jakaś wyraźniejsza, silniejsza, potężniejsza. Ta melodja, pełna bólu, goryczy, żalu, uporu i nienawiści do wroga, wprowadziła nas wszystkich w szał, rozsprzęgła nerwy, szarpała sercem, kazała zapomnieć o bojaźni, o śmierci, budziła do czynu, do walki do zemsty.

Etiuda Rewolucyjna to pieśń Warszawy. Szopen stworzył ją z myślą o niej i — dla niej. Gdy Rosjanie weszli do Warszawy i sotnie kozackie cięły nahajami po ulicach, błagał ojca, aby mu pozwolił pojechać do kraju i walczyć razem z powstańcami. Był właśnie w Stuttgarcie w drodze do Paryża. Ale nie, nie mógł pojechać. Wtedy usiadł do fortepianu i pod wpływem wizji tragedji warszawskiej skomponował swój muzyczny manifest rewolucyjny. Widział Warszawę w bólu, we krwi, pod batem tyranów, a jednocześnie nieugiętą, bohaterską. "O Chmielnej wtedy myślałem..." powiedział kiedyś.

Pan Marian skończył, ale oparł ręce o fortepian, oczy utkwił w świecach, jakby szykował się do skoku i długo, bardzo długo w pokoju była cisza zupełna. Na jej tle tym wyraźniej słychać było płacz pani domu, która siedziała najdalej fortepianu, w rogu pokoju, z twarzą ukrytą w szalu. Nikt nie odzywał się. Za chwilę pani domu wstała, podeszła do fortepianu, wzięła obiema dłońmi martwą niemal rękę pana Mariana i przycisnęła ją namiętnie do swych ust.

Niemcy zakazali w Polsce grania Szopena. Nawet zburzyli jego pomnik w Łazienkach. Wtedy, po wyjściu z tego koncertu, po nowym wysłuchaniu Etiudy Rewolucyjnej zrozumiałem, że Niemcy znają muzykę Szopena. Boją się tej siły nadprzyrodzonej, zaklętej w najbardziej polskiej i najgoręcej patriotycznej muzyce. Bo taka ona jest sentymentalna w nokturnach, nostalgiczna w pieśniach, patriotyczna w polonezach, rewolucyjna w etiudzie. W takt muzyki Szopena można płakać, marzyć, kochać, nienawidzieć, walczyć i umierać.

Szopen jest olbrzymem. A Niemcy boją się olbrzymów.

W POPRZEDNIM 46 (98) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Mieczysław Grydzewski: Na 150-lecie Rzezi Pragi; Helena Sworakowska: Płonące Skrzydła; Stanisław Stroński: Nasza siła to prawo; Polskie Wojsko pod dowództwem generała Maczka wyzwala Belgję; Jan Lechoń: "Mały Rycerz"; Walentowa mówi; Krajowy Zjazd Młodzieży w Detroit; Opinje i Zdarzenia.

JAN LECHOŃ

OSTATNIA PREMJERA POLSKIEGO TEATRU ARTYSTÓW

Nasz Teatr Artystów w poszukiwaniu sztuki zdolnej zainteresować naszą Polonję, dającej zarazem pole do prawdziwego popisu aktorom sięgnął po jeden z przedwojennych sukcesów teatrów polskich, po komedję Adama Grzymały Siedleckiego "Spadkobierca".

Nie będzie to wyjawieniem żadnego sekretu, jeżeli powiemy, że tę właśnie wybierając sztukę liczyli artyści nasi na szczególny oddźwięk publiczności, ów "Spadkobierca" bowiem jest to Polak, który w młodości wywędrował do Ameryki i który jako dojrzały mężczyzna, jako, jakbyśmy dziś powiedzieli Amerykanin polskiego pochodzenia, wraca do kraju. Będzie to bardzo ciekawe i pouczające dowiedzieć się jak Polonja nasza przyjmie tę sztukę, czy odnajdzie w niej siebie, czy wyda jej się prawdziwy kontrast jej i polskiego życia, jaki autor chciał w tej komedji przedstawić. Co do nas, to, mając sobie za obowiązek, nie odstępować na tych łamach od zasady mówienia prawdy, od domagania się wysokiego poziomu we wszystkiem co pokazujemy z polskiej literatury i sztuki powiemy najszczerzej jakie naszem zdaniem komedja Siedleckiego przedstawia wartości sądzona według tej bezwzględnej literackiej i społecznej miary.

Adam Grzymała Siedlecki, świetny, bardzo mózgowy krytyk ze skłonnością do patosu i kaznodziejstwa uczynił zarówno kolgom-pisarzom jak i publiczności niespodziankę debjutując w parę lat po poprzedniej wojnie jako pisarz sceniczny i to bynajmniej nie w jakimś intelektualnym, zdawałoby się, odpowiadającym mu rodzaju, ale jako majster komedji, zabiegający przedewszystkiem o poklask publiczności i gotowy dla jego zdobycia do wielu ustępstw ze swych ambicji.

Niespodzianka była podwójna, gdyż Siedlecki nietylko zapragnął sukcesu, ale odrazu pierwszą sztuką, frywolną "Sublokatorką" sukces ten zdobył. Patetyczny, koturnowy karciciel tak zwanego "zepsucia", okazał Siedlecki w tych sztukach uzdolnienia wręcz zdawałoby się sprzeczne z jego ambicjami i sposobem myślenia: dowcip t. zw. kawalerski, sarmacka jurność, sytuacje drażliwe jakby z fars francuskich zapożyczone — to co Siedlecki gromił najostrzej w swych artykułach, to właśnie było w jego komedjach najbardziej udane, to właśnie dawało przedewszystkiem sceniczne życie jego sztukom. Jednocześnie przecież raz po raz owa moralizatorska żyłka odzywała się w komedjach i nawet w zdecydowanych farsach Siedleckiego, raz po raz ów Siedlecki koturnowy przypominał sam sobie o swem istnieniu i to nieraz w najmniej po temu zdawałoby się odpowiednich chwilach; tworząc z lubością starego teatralnego wygi sytuacje, które należałoby uznać za wręcz drażliwe gdyby miały być brane na serjo, być czemś więcej niż niewybrednym żartem, naraz przerywał Siedlecki owe jurne perypetje jakimś kazaniem w stylu swoich publicystycznych pouczeń, lub też, przedstawiwszy nam bez żadnej zgoła moralnej troski jakiegoś notorycznego bęcwała lub nicponia, kładł ni stąd ni zowąd w jego usta jakiś frazes patryjotyczny, jakieś budujące zdanie, mające nas przekonać że autor piołunowych filipik przeciw zepsuciu nie zapomina ani na chwilę o wciąż zagrożonej moralności.

Ta dwoistość Grzymały spłatała mu w ciągu jego pełnej powodzenia komedjopisarskiej karjery niejednego figla i była powodem niejednej doskonałej złośliwości kolegów-krytyków a w końcu otwartej wojny z Boyem Żeleńskim, który będąc szczególnie wrażliwy na wszelki fałsz, zakłamanie i tartuferję z lubością doszukiwał się ich w komedjach Grzymały i bezlitośnie wyszydzał.

"Spadkobierca" sprezentowany nam w piątek w Nowym Jorku należy do utworów Grzymały pisanych w początku jego komedjopisarskiej karjery kiedy jeszcze ambicje jego wahały się między poważnieszemi zadaniami a ową już zupełnie bez pretensji zabawą w jakiej pogrążył się później pisząc zdecydowane farsy jak "Maman do wzięcia".

Jest "Spadkobierca" próbą zawiązania istotnego dramatycznego konfliktu, dania kontrastu charakterów a nawet warunków społecznych, obmyślony był jako dramat człowieka, który, zdobywszy powodzenie, nie znalazł szczęścia bo nie można go znaleść zdala od swoich i od swej ziemi, miał niewątpliwie Grzymała zamiar przeciwstawić w swej sztuce walce klasowej zgodę narodowego temperamentu zdolną, jakoby, zawsze wszystkich Polaków doprowadzić niczem we fedrowskiej "Zemście" do zgody.

To co zamyślił publicysta, krytyk, to co chodziło po głowie narodowego kaznodziei, to Siedlecki — majster teatralny goniący za mocnym efektem, za poklaskiem galerji spospolitował, wypaczył, co mogło być społeczną prawdę poparte przez psychologiczną prawdziwość bohaterów stało się tanią demogogją, zdane na rezonerstwo wewnętrznie skłóconych i konwencjonalnych figur scenicznych, próba rozstrzygnięcia najbardziej zawiłych przeciwieństw społecznych między jednym a drugim kawalerskim kawałem musiała wywołać efekt nietylko niepoważny ale też drażniący; należy też przpomnieć, że właśnie "Spadkobierca" był powodem wielkiej batalji między Grzymałą a Boyem nietylko o artystyczne ale i społeczne wartości jego sztuki.

Wbrew temu co program Teatru Artystów pisze w swoim komentarzu "Spadkobierca" nie jest też niestety odpowiedzią na propagandę naszych wrogów oskarżających Polskę, że była krajem "landlordów", ale odpowiednio złośliwie skomentowany mógłby być potwierdzeniem tych niesłusznych zarzutów.

Grzymała oczywiście nie miał zamiaru zwalczać reformy rolnej, chciał tylko pokazać, że Polacy nie znoszą przymusu i raczej wszystko oddadzą dobrowolnie niż cokolwiek z rozkazu — że jednak w swej sztuce pomieszał rzeczy ważne z błahemi, że nie przemyślał efektu takiej sceny, jak pobicie chłopa przez dziedzica, że zabrakło jego słowom wiary, a ludziom ludzkiej prawdy, stworzył więc obraz społecznie fałszywy, użył mimowolnie słów dwuznacznych; najlepszą obroną jego sztuki tutaj w Nowym Jorku, byłoby też stwierdzenie że spotkała się ona w kraju z bardzo żywym sprzeciwem kytyków myślących o rzeczach społecznych naprawdę i poważnie. — Obraz polskiego społeczeństwa wiejskiego w "Spadkobiercy" scenicznie naogół żywy i zabawny nie jest niestety bynajmniej budujący i znów jedynem jego usprawiedliwieniem byłoby stwierdzić, że jest on daleki od prawdy. Obraz ten odbity został przez wytrawnego krytyka Grzymałę z komedji nietylko Blizińskiego, ale nawet Bałuckiego pisanych w zupełnie odmiennych politycznych i społecznych warunkach; jest naszym obowiązkiem zapewnić naszych rodaków w Ameryce, że ani wszyscy starzy obywatele w Polsce nie byli takimi nabieraczami jak Siekierka-ojciec, ani wszscy młodzi takimi próżniakami i idjotami jak Siekierka-syn.

Czy w postaci Obieżyńskiego Polonja Amerykańska odnajdzie swoje tęsknoty, echa swych przeżyć, swoje myśli o życiu w Ameryce i swoje marzenia o starym kraju, to, powtarzamy dalsze przedstawienia sztuki pokażą. Nam osobiście ta postać nie pozbawiona życia najstaranniej i najpoważniej potraktowana przez autora, wydaje się w swym hamletyźmie i monomanji erotycznej raczej nie typową

dla twardego i rzeczowego świata Polaków amerykańskich; jest też ona raczej niż kopją życia, znów echem lektury, bodaj, że "Lalki" i Conrada.

Z tem wszystkiem "Spadkobierca" ma sceniczne zalety niewątpliwe, choć raczej podrzędnego gatunku: to co jest w nim dramatem rzadko brzmi szczerze i prawdziwie, ilekroć zato puszcza się Grzymała na kawały i sytuacje farsowe budzi śmiech, powtarzamy, bardzo niewybredny, ale naprawdę żywiołowy.

Biorąc ten ton zdecdowanie farsowy odniosła Modzelewska prawdziwy tryumf w roli cnotliwej gospodyni ogarniętej przez demona zmysłów.

Mniej dbając o komedjowy kontrast jaki tkwi w tym przełomie postaci wygrała zato nasza Marysia z nieporównanym wdziękiem i prawdziwą aktorską pasją wszystko co było w sytuacjach zabawne, żywe, do śmiechu pobudzające, nadała przedstawieniu świetne tempo, porywając za sobą partnerów i "wygrywając" się po raz pierwszy aż miło.

P. Gantkowski, wcielając się w ciągu dwóch tygodni w trzecią sceniczną postać, był znów zupełnie inny, i potwierdził wrażenie, że jest jednym z tych rzadkich aktorów, którzy każdą niemal rolę potrafią zagrać doskonale. Porównując go z premjerowym wykonawcą Obieżyńskiego w Warszawie, Janem Szymańskim, trzeba powiedzieć, że Gantkowski i lepiej wyglądał i grał znacznie subtelniej. Czuło się w nim zarazem Obieżyńskiego-szlchcica i romantycznego wędrownika o potężnych pasjach, w kłopotliwych przez swą patetyczność momentach, potrafił Gantkowski zachować chwalebny umiar, w chwilach wybuchu był szczery i przekonywujący. I pomyśleć, że przez dwadzieścia dobrych lat ten człowiek robił wszystko tylko nie to do czego jest stworzony.

P. Bohdańska zachwycała doskonałą dykcją i była partnerką idealną do komicznych scen z Modzelewską. P. Ilcewicz zdeklasował nieco społecznie swego Siekierkę, ale wyraźnie upodobał sobie rolę i był w niej szczerze zabawny; p. Wilczówna i p. Modzelewski nie mogli a przytem nie bardzo starali się uratować swych papierowych i zbyt już głupkowatych postaci.

FELICJA KRANC

WYSTAWA DELACROIX

Eugene Delacroix (1798-1863) którego obrazy wystawione są obecnie w galerji Georges Wildenstein w New Yorku, jest niewątpliwie jednym z największych malarzy francuskich XIX wieku. Nie odrazu jednak został on za ową wielkość uznany, aczkolwiek przepowiadał mu to młodszy o dwadzieścia lat namiętny jego wielbiciel, poeta Charles Beaudelaire. — Skok bowiem od klasycyzmu Ingresa i Davida w wir romantyzmu, zerwanie z prymatem rysunku na rzecz koloru — wywołały tyleż zachwytów u jednych, co ostrych krytyk u drugich, a słynne dziś płótno "Massacre de Scio", ilustrując walkę Greków o niepodległość, wystawione na Salonie paryskim w roku 1824-ym, nazwane zostało przez L. Grosa "masakrą malarstwa."

Duchowo związany z grupą romantyków francuskich, z Gerard de Nerval, Vigny, Hugo, Berliozem, Balzakiem i Lamartinem, serdeczny przyjaciel Chopina i Mickiewicza — Delacroix, sam przejęty kultem dawnych mistrzów, specjalnie Rubensa, był przecież nielada nowatorem i słusznie nazywają go niektórzy ojcem impresjonizmu. To jego, Delacroix, obrazy są dziś przedmiotem namiętnych polemik i dyskusyj malarskich i bodaj czy nie dla większości młodych jest on wciąż bardziej aktualny i bliski od Courbeta, o którym Pankiewicz mówi, że "jeżeli patrzeć bez literatury, opierając się na czystej wartości malarskiej — to Courbet jest chyba jedynym malarzem XIX wieku, godnym porównania ze starymi mistrzami."

Obecna wystawa w New Yorku nie jest w żadnym razie miarą artystycznych osiągnięć Delacroix. Nie sposób zdać sobie sprawę z doniosłej roli, jaką w malarstwie światowem on odgrywa, nie znając jego wielkich malowideł, zdobiących paryski Palais Bourbon, Ratusz, Luksemburg i galerję Luwru. Nierówny, jak może żaden inny malarz, obok istotnych arcydzieł potrafił on zostawiać płótna niedociągnięte, artystycznie słabe, w których brak owego ładu kompozycji i spokoju, tak niezbędnego w sztuce. I za to właśnie nieopanowanie atakuje go Pankiewicz — przyznając mu skądinąd mnóstwo zalet — w jednej ze swych "przechadzek po Luwrze", tak wiernie przez Czapskiego spisanych.

Oto stoją obaj przed "Zdobyciem Konstantynopola" i Czapski zachwyca się modelunkiem pleców kobiecych, malarskością położenia farby, wibracją zimnych i ciepłych tonów. "To są te same plecy, na które powoływał się jeszcze Signac — odpowiada Pankiewicz — twierdząc, że tutaj właśnie, już u Delacroix, widzimy "la touche divisee", praktykowaną przez impresjonistów i postimpresjonistów. Nie, panie, to nie wytrzymuje porównania z Veronezem ani z Rubensem. Proszę spojrzeć na "Kiermasz" Rubensa. Delacroix ma zawsze temperaturę malarską, ale jaki chaos mamy w tej naprzykład "Bitwie pod Poitiers". Nie przeczę, że każdy z tych obrazów ma duże wartości, ale giną one w bezładzie kompozycji, pozbawionej rytmu. Należy cenić wielki talent Delacroix, ale ile to rozczochranie romantyczne zrobiło szkody sztuce. "Ciekawe są również uwagi o autoportrecie: "zacieniona strona twarzy nie ma konsystencji, a tło żadnej materjalności, zresztą tła w tej epoce żaden Francuz, nawet Corot, nie umiał zrobić tak jak to robili Holendrzy i Włosi... Przetarte tło w autoportrecie Delacroix, to wyraźny wpływ anglików, od nich też pochodzą te efektowne kontrasty."

Świat Delacroix, to świat bajeczny, żywo tętniący dramatem historji, przesiąknięty mitem antycznym, urzeczony bogactwem wschodu, pulsujący walką i ruchem. Nie trzeba czytać monografji artysty, aby wiedzieć o jego podróżach, bo jego obrazy same nam mówią, że oto owe rozpędzone konie arabskie powstać mogły jedynie w Afryce, że aby namalować takie portrety kobiece trzeba było napatrzeć się w Anglji na oryginały Reynoldsa i Lawrence'a, że "Złożenie do grobu" zdradza dłuższy pobyt w Hiszpanji. Gdyby zaś ten niemy film, który oglądamy na ścianach u Wildensteina, zamienił się nagle na dźwiękowy — powstałby zgiełk, pełen bojowych okrzyków, błagalnych jęków, zawodzących pieśni, rżenia koni, ryków lwa i pomruków tygrysa.

O ileż bardziej leżą w jego temperamencie malarskim owe brawurowo malowane sceny konne lub kompozycje w rodzaju "Chrystusa na jeziorze Genezareth" czy "śmierć Sardanapala", replika wielkiego obrazu z Luwru — niż teatralne kwiaty, dość zresztą sztucznie związane z pejzażem lub poprawne lecz banalne portrety. Materja malarska, wywodząca się z najlepszej tradycji Rubensowskiej (którą inspirował się potem Renoir) operowanie silnie kontrastującemi tonami zimnemi i ciepłemi, lubowanie się w czerwieni, a nadewszystko mistrzowskie opanowanie rzemiosła i łatwość techniczna — oto narzucające się odrazu cechy tych płócien, od których, mimo częstych ich wad i niedociągnięć, trudno przecież się oderwać.

OPINJE I ZDARZENIA

"SWASTYKA NAD WARSZAWĄ"

Fragment prozy p. t. "Szopen w podziemnej Warszawie", który dziś podajemy wyszedł z pod pióra Wacława Sledzińskiego i jest stronicą z wyszłej w Edynburgu jego książki — "Swastyka nad Warszawa".

Autora znają nasi czytelnicy z jego doskonałego artykułu "Młoda Polska Podziemna", który w lecie "Tygodnik Polski" drukował. Jego książka zaledwie w paru egzemplarzach dotąd doszła do Nowego Jorku jest dokumentem niezwykłym życia w Polsce Podziemnej — opowieścią człowieka, który w tem życiu brał czynny udział przez dwa lata, w każdej chwili narażając się i cudami przemyślności unikając śmierci.

"Swastykę nad Warszawą" czyta się jak powieść sensacyjną i trudno doprawdy uwierzyć, że jest ona obrazem przejść prawdziwych, czyta się ją z niesłabnącym podziwem dla naszych rodaków i z uczuciem przerażenia, że takie życie jest ich udziałem. Pod względem politycznym — książka Śledzińskiego jest w pewnym sensie rewelacją, przedstawiając nastroje Warszawy bardzo nieraz różnie od "urzędowych" relacji.

PPŁK. KIEDACZ NIE ŻYJE

W numerze 36-37 z dnia 5 listopada "Orła Białego" czytamy następujące wspomnienie o śp. Ppłk. Zbigniewie Kiedaczu:

23 października poległ ppłk. Zbigniew Kiedacz. Żołnierz z krwi i kości, urodzony dowódca, oficer wyjątkowej odwagi osobistej i niezwykłej o swój pułk dbałości, cały młody entuzjazm i energię oddaje służbie. — Przed trzema laty, jako rotmistrz, przyjeżdża ze Szkocji do powstającej w tak ciężkich warunkach Armii Polskiej w Z. S. R. R., by z rozkazu generała Andersa objąć dowództwo batalionu "S". Jakąż drogę daleką odbywa rtm. Kiedacz od owego dnia. Poprzez trud Buzułuku, upał i skwar Iraku, poprzez ćwiczebne sukcesy w wąwozach Galilei, niecierpliwe wyczekiwanie na piaskach egipskich, aż po Cassino (Castellone), Passo Corno, szczyt Mte Cairo, San Biaggio, Anconę, Castel d'Emilio, Castel Fidardo, przez brody i pola bitewne tylu nadadriatyckich rzek: Chienti, Musone, Esino, Cesano Metauro, Foglia do ostatnich walk.

Taką drogą idzie jego pułk. Przez niedostatek Jangi Jul do ułańskiej świetności Quisil Ribat, przez palestyńskie defilady po chwałę bitewną Monte Cassino. Rotmistrz-żołnierz kampanii wrześniowej i francuskiej, odznaczony Krzyżem Walecznych, ale młody, nie doświadczony, czy podoła?

Oto odpowiedź wpisana w Montemarciano ręką Naczelnego Wodza do księgi pamiątkowej pułku: "Niezawodnemu pułkowi ułanów, zwycięzcy w wielu bitwach i bojach kampanii włoskiej z życzeniami dalszej chwały i szczęścia żołnierskiego".

Żywy i chłonny umysł, wsokie poczucie godności osobistej, męska decyzja przodowania, wierność sprawie i lojalność żołnierska a nadewszystko owa żywotność nie do wiary, pasja niezmierna pracy, miłość pułku i duma z pułku — oto sylwetka człowieka jak bardzo niepełna. Wymagający tak wiele od siebie i od innych, bezkompromisowy w postępowaniu i w sądach, nie znosił i nie tolerował słabości. Silny człowiek wzbudzał silne uczucia. Jego iście napoleońska karta służby zadziwia postronnych, znajduje pełne uznanie przełożonych i podwładnych. Wiedzą jedni i drudzy, ile w tej karcie jest Jego woli, pracy, serca i zasługi. Na drogę niepowrotną i ostatnią ppłk Zbigniew Kiedacz zabiera poległym towarzyszom broni przyrzeczenie żywych na walkę, na wierność na wytrwanie. Przyrzeczenie, które tak dobrze rozumiał i tak bez reszty wypełnił.

KONIEC KRÓLA PIOTRA

Król Piotr jugosłowiański ulegając jak wiadomo naciskowi Aljantów, mianował rząd jakigo zażądali za pośrednictwem Anglików Rosjanie. — Wszystko poto, aby uratować koronę. Teraz wiemy, że nie może on wyjechać do Belgradu i musi czekać na rezultat t. zw. plebiscytu, który zdecyduje, czy Rosja sama będzie rządziła w Jugosławji, czy też zgodzi się na marjonetkowego "króla". Oto rychła odpowiedź na wątpliwości różnych naszych naiwnych rodaków, wyobrażających sobie, że Moskwa dobrowolnie wpuści rząd londyński do Polski.

KONCERT TOTENBERGA

Roman Totenberg zadebiutował 13 listopada w Carnegie Hall, dając po raz pierwszy w tej wielkiej sali swój recital, i odniósł wielkie i zasłużone powodzenie. Artysta był świetnie usposobiony i od samego początku zawładnął całkowicie uwagą licznie zebranej publiczności, zainteresowanie której wzmagało się z każdym nowym utworem i która po skończeniu koncertu podziękowała artyście owacją, zmuszając go do licznych naddatków.

Sukces ten witam z ogromną satysfakcją. Byłem obecny na debiucie tego atysty, jakichś 15 lat temu w Warszawie, śledziłem uważnie od tego momentu rozwój jego karjery, tak w Polsce, jak zagranicą, wreszcie jego recitale w Town Hall w Nowym Yorku. Ni zważając na sukces który osiągnął od samego początku swej karjery Totenberg nie ustał nigdy w rzetelnej pracy nad sobą i swą sztuką, wzbogacając tak jej zasoby techniczne, jak też rozszerzając swą kulturę artystyczną. Wiem że to czego osiągnął wywalczył drogą nie tylko pracy, lecz uporu i poświęcenia, gdyż życie często wymagało innego zastosowania czasu i energji.



Roman Totenberg

Ten młody wiekiem, liczący zaledwie30 lat, skrzypek, jest obecnie zupełnie dojrzałym artystą, o wielkiej klasie międzynarodowej, świadomym swych celów i pewnym swych środków technicznych. Poza doskonałą techniką, Totenberg posiada wielki i ciepły ton, wyjątkowe poczucie rytmu i formy, oraz wrodzony, lecz w zupełności przez siebie opanowany temperament artystyczny. Gra jego pozbawiona jest tanich efektów zewnętrznych i ujmuje prostotą i szlachetnością.

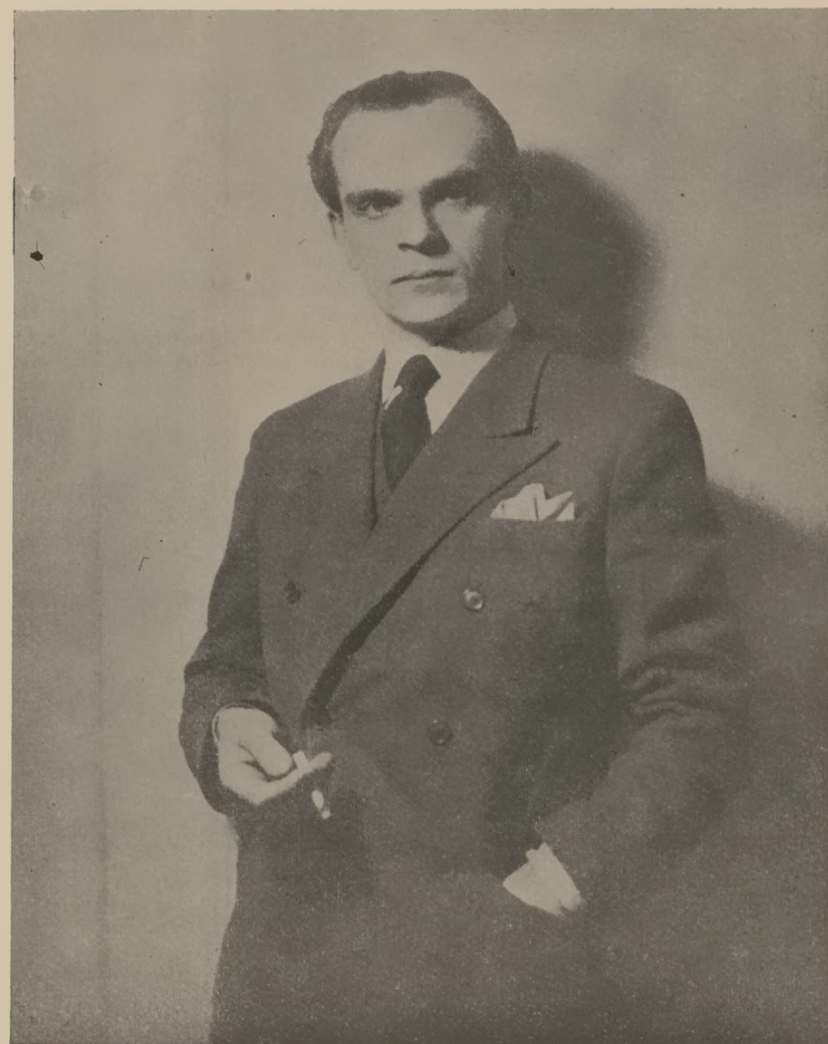
Program recitalu zawierał utwory Bacha (Sonata E-moll), Mozarta (Koncert G-dur), Paganini'ego, Sarasatego, Debussy'ego, oraz Fossa. Każdy z tych utworów wykonany był z wyczuciem stylu i pietyzmem dla kompozytorów. Należy wyodrębnić wykonanie Koncertu Mozarta i Sonaty Debussy'ego. W Mozarcie ujmował piękny seraficzny ton w Adagio, w

Sonacie Debussy'ego zaś, poza świetnym frazowaniem, bogactwo i kontrast barwy, nieskazitelna i porywająca ytmika. Należy również podkreślić doskonałe wykonanie trzech nowych, po raz pierwszy granych, utworów Lucas'a Foss'a, który towarzyszył Totenbergowi przy fortepianie. Utwory tego świetnie zapowiadającego się młodego kompozytora spotkały się z wielkim powodzeniem. Pierwsze dwa utwory (Early song i Dedication) zjednywały swą bezpośredniością i liryzmem, oraz doskonałą fakturą techniczną, trzeci zaś, zatytułowany "Composer's Holiday" buńczucznością i rozmachem dynamicznym. Utwór ten powstał pod wrażeniem "Barn Dances" na których kompozytor był obecny pewnego wieczoru, podczas swych wywczasów w New Hampshire. Jest to bardzo dowcipnie wystylizowana groteska zasługująca na uwagę skrzypków poszukujących nowych i oryginalnych utworów.

Recital zakończony został utworami Paganiniego i Sarasatego, które, mimo tego, że należą do zbyt osłuchanych numerów, zabłysły nowym pięknem w skupionem i szlachetnem wykonaniu Totenbega.

Ten tak udany recital zapewnie otworzy nową erę w karjerze naszego artysty w pełnem znaczeniu tego słowa, który, zdaniem mojem, jest godnym następcą polskich uznanych mistrzów.

Akompanjował artyście doskonale Artur Balsam, który przyczynił się wielce do sukcesu koncertu. Zwłaszcza należy podkreślić świetne wykonanie partji fortepianowej w Sonacie Debussy. **Feliks R. Łabuński**



WITOLD MAŁCUZYŃSKI
znakomity pianista, którego recital odbędzie się w Carnegie Hall we wtorek 28-go listopada

FILMY O POLSCE

Widzieliśmy ostatnio w kinach, wyświetlających aktualności dwa krótkometrażowe filmy o Polsce. Jeden z nich nazwany "The Polish Underground" wykonany, jak informuje nas napis tytułow według materjałów dostarczanych przez Polish Information Center — jest to poprostu najbanalniejszy zlepek scenek bez żadnego napięcia dramatycznego, wybranych dopawdy byle jak i niczem nie różniących się od tysiącznych tego rodzaju obrazków wszstkich narodów a nawet od zwykłych filmów awanturniczych. Jeżeli jakieś pieniądze polskie na ten film poszły — to ich szkoda.

Drugi obraz przedstawiający epopoję dzieci polskich — robiony przez Cękalskiego z tekstem Wittlina i muzyką Eigera — jest filmowo, literacko i muzycznie — na najwyższym poziomie. Zdjęcia są doskonałe i bardzo wymowne, tekst wzruszający i przekonywujący, muzyka dobrze dostosowana do treści i zgrana z tekstem. Kto daje się wzruszać — tego ten film wzruszy niedolą i rozproszeniem polskich dzieci. Tylko nigdzie nie jest powiedziane, że te dzieci, których rodzice zaginęli, które przeszły gehennę głodu i zimna — wywiezione były i gnane na Sbir — **przez Rosjan.** Rozumiem, że niełatwo to było powiedzieć — ale też poczucie sprawiedliwości, poczucie prawdy buntuje się w każdym Polaku na myśl, że właśnie o takich rzeczach mówić nie wolno.

NOWA KSIĄŻKA JANTY

Książka Aleksandra Janty "I lied to live", zdawna zapowiedziana wyszła już z druku nakładem "Royu" i jest we wszystkich księgarniach do nabycia. Polecamy ją najgoręcej, znając ją z drukowanych po polsku fragmentów. Omówimy ją w najbliższym czasie.

WYSTAWA KSIĄŻKI POLSKIEJ

W przeszłym tygodniu otwarta została w Public Library na ulicy 42ej wystawa książki polskiej, której spiritus movens był niestrudzony opiekun rzeczy polskich w tej bibljotece Dr. Alfred Berlstein. Wystawa zawiera zarówno dawniejsze druki jak i nowe wydawnictwa wystawione przejrzyście i estetycznie. Na inauguracji jak zawsze było pustawo, bo Polska wciąż nie jest sensacją, ściągającą publiczność. Rektor Halecki mówił jak zawsze rzeczowo i bardzo gorąco.

JAK SIĘ NAZYWA WALENTOWA

W uzupełnieniu "listu otwartego do Władysława Gieysztora", podajemy obecnie pełne nazwisko "Prawdziwej Walentowej", która się odnalazła w Polskiej Armji. Jest nią pani Marja Trojanowska inspektorka-major kompanji transportowej P. S. K.

Listy do Redakcji

Doszły mnie wiadomości o trudnościach z jakimi walczy Redakcja Tygodnika od chwili wstrzymania subsydium przez Rząd Polski.

Byłoby zbytecznym podkreślać wszystkie te momenty, które wpływają na konieczność wydawania Tygodnika nietylko w zakresie dotychczasowym, ale rozszerzenia działalności przez przyciągnięcie sił fachowych amerykańskich i wydawanie raz na miesiąc numeru w języku angielskim.

Tygodnik od chwili powstania spełnia pięknie swe zadanie. Chodzi o kontynuowanie tej działalności, ale powaga chwili wymaga nabrania oddechu i wyjścia na szersze wody.

Będzie to możliwe tylko przy uzdrowieniu i umocnieniu podstaw finansowych Tygodnika.

W tym celu pozwalam sobie zaproponować, aby wszyscy prenumeratorzy

1. wpłacili zaraz, niezależnie od prenumeraty, extra $5.
2. postarali się każdy o jednego nowego penumeratora.
3. zdobyli wśród zaprzyjaźnionych firm ogłoszenia możliwie stałe — nie dorwcze.

Wykażmy pewne zdolności organizacyjne!

Załączam czek na $5.

Łączę wyrazy poważania

Ignacy Jan Szper.

Ottawa, Ont., Canada

Drogi Panie Redaktorze,

W zamieszczonym przez "Tygodnik" z dnia 1go bm. pięknym wspomnieniu p. Jerzego B. Benedict o moim Bracie, śp. prof. Józefie Birkenmayerze, znalazły się pewne drobne nieścisłości, wynikłe zapewne stąd że według własnych słów Autora: zetknął się on z moim Bratem w początku września 1939, poczym stracił go z oczu, a następnie usłyszał o nim dopiero po jego śmierci w obronie Warszawy. Otóż wyjaśniam, że owo "zniknięcie" mojego brata wkrótce po widzeniu się z Autorem wspomnień polegało poprostu na jego dobrowolnym, mimo choroby, "zmobilizowaniu się" i przedostaniu się z Warszawy do pułku, w którym był porucznikiem rezerwy. Nie mogąc już zobaczyć się ze mną, przebywającym wówczas również jeszcze w Warszawie, brat mój doniósł mi o tem dnia 8go września, 1939 krótkim listem, wysłanym przez przypadkowego posłańca-harcerza — (zapewne dawnego swojego ucznia) tuż przed swoim wyruszeniem z Warszawy. O udziale Brata w walkach w polu nie mam danych; natomiast pozytywnie wiem, że po rozbiciu pułku przez Niemców przedarł się dnia 19go lub 20go IX. wraz z grupką oficerów i żołnierzy pułku z powrotem do Warszawy, biorąc udział w jej obronie jako oficer, a nie jako "cywilny ochotnik", jak to podano Autorowi wspomnień. Również żadna z wersyj, podanych Autorowi na temat okoliczności śmierci mojego Brata, nie jest ścisłą. Jedyną wersją całkowicie ścisłą i autentyczną, bo przywiezioną do Paryża z Warszawy już w grudniu 1939 przez naocznego świadka p. Z. Biesiadeckiego, a potwierdzoną następnie relacjami listownymi mojej rodziny i pochodzącymi z innych źródeł relacjami prasy polsko-amerykańskiej, jest, że Brat mój zginął w przeddzień kapitulacji Warszawy dowodząc oddziałkiem ochotników (żołnierzy i cywilnych) na pozycji odcinka: ulica Oczki - Aleje Jerozolimskie. Zabity został istotnie pociskiem armatnim, który go dosłownie zmasakrował, tak, iż agnoskowanie tożsamości zwłok musiało nastąpić na podstawie znalezionych w kieszeni jego munduru strzępów papierów osobistych. Pochowany został na cmentarzu skolimowskim (już po kapitulacji). Śmierć miał istotnie "ładną", bo dla Polski i po żołniersku, jak tysiące innych w Warszawie, wówczas i teraz. Ten tak bardzo prosty fakt już sam w sobie ma tyle treści, że niech się Sz. Autor wspomnienia nie gniewa — raczej nie wymagałby doszukiwania się w nim innego romantyzmu.

Łączę, Drogi Panie Redaktorze, szczery uścisk dłoni — oddanu Panu

Alfred Birkenmayer.

LISTA OPIEKUNÓW "TYGODNIKA POLSKIEGO"

W ostatnich czasach liczni czytelnicy i przyjaciele naszego pisma przyszli nam z pomocą, wspierając nas materjalnie. Podajemy dziś pierwszą ich listę — dziękując im serdecznie za ich ofiarność i wyrażone przez nią zrozumienia dla naszych wysiłków.

A. Zielińska, Philadelphia, Pa.	$25.00
V. Janda, Minneapolis, Min.	5.00
K. Zagórska, Detroit, Mich.	10.00
C. Burr, N. Y. Ci. (3 raz)	100.00
Dr. L. Mallek Pittsburgh, Pa.	25.00
Rev. B. Socha, Bloomfield, N.J.	10.00
Rev. M. Lipiński, Trenton, N. J.	15.00
Rev. J. Kuczyński, Phila., Pa.	10.00
Rev. T. Bartol, Ranshaw, Pa.	5.00
Uczennice Akademji Najśw. Rodziny, Chicago	25.00
Rev. S. W. Trepczyński, Detroit, Mich.	10.00